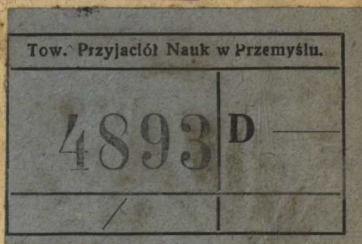


Tow. Przyjaciel Nauk w Przemysłu.

4893

D



1073

STRENGTH OF THE

OF THE

OF THE

OF THE

OF THE

OF THE

OF THE

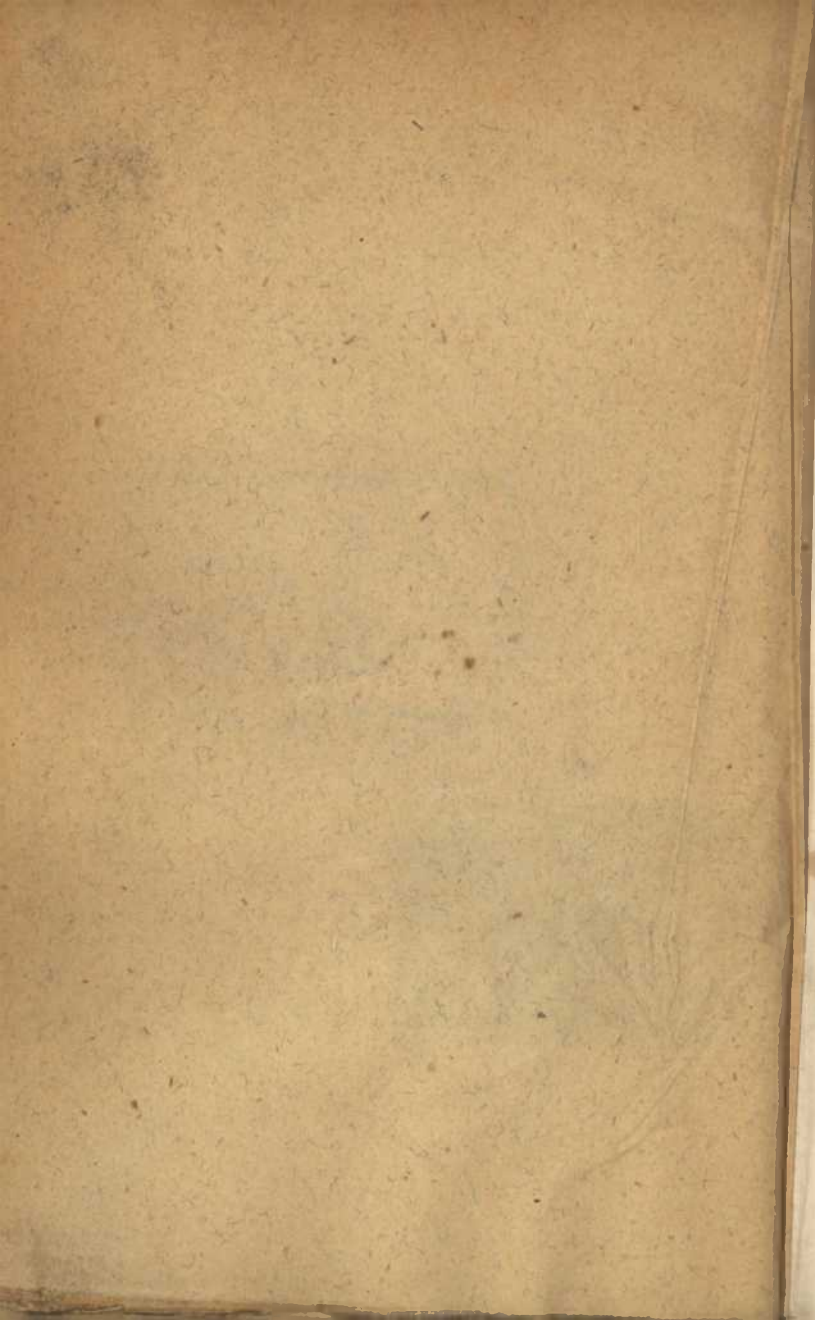
OF THE

OF THE

OF THE

OF THE

OF THE



STOWARZYSZENIE CZELADNIKÓW



OBRAZ

Z ŻYCIA RZEMIEŚLNIKÓW

WE DWÓCH AKTACH.



WE LWOWIE

NAKŁADEM WOJCIECHA MANIECKIEGO.

1858.

WF

STOWARZYSZENIE ENCYKLOPEDIKÓW

A-19/39

NYCIA RZEMIESIENIKÓW

WE DWÓCH KSIĄŻKACH

Przebieg choroby w rodzinie



1000171543

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

WYDZIAŁ WOLNOŚCI WYŻSZEJ SZKOŁY

1858

Literat. 13a

K. M60/56/6393

KSIĘDZU ZYGMUNTOWI

ODELGIEWICZOWI

WICE-PREZESOWI STOWARZYSZENIA

Młodzieży Rzemieślniczej Lwowskiej

w dowód najgłębszego uszanowania

i dozgonnej wdzięczności

poświęca

TŁUMACZ.

KSIĘDZU ZYGMUNTOWI

OSOBY

JAKÓB DOBRUCKI, *majster szewski.*

KAROL, *syn jego.*

MARCIN

JÓZEF

JAN

PIOTR

Czeladnicy u majstra szewca.

Scena odbywa się w warsztacie Szewca.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Czterech czeladników siedzi przy warsztacie.

J Ó Z E F.

Niezdolny jesteś!.. Słuchaj no, Marcinie!
Humor nam psujesz tem kociem mruzeniem.
Wstyd nam i hańbę przynosisz jedynie
Siedząc w warsztacie z tem smutnem wejrzeniem.
Szcwec w melancholii!... to pęknać ze złości!
Lecz my ci tego dłużej nie zniesiemy,
Ty musisz z nami zaspiewać z radości
I piwa łyknąć — kiedy my pijemy.

J A N i P I O T R.

Tak nie inaczej, musi trzymać z nami.

M A R C I N.

Proszę was, moi drodzy przyjaciele,
Dajcie mi pokój z waszemi pieśniami,
Ja waszych zabaw pewnie nie podzielę.

P I O T R.

Jużeś zapomniał, a proszę, od kiedy?
Ci Filistyni, twoi towarzysze,
Oni przyczyną całej naszej biedy
I smutku twego sprawcami, jak słyszę.

J A N.

Oni to, oni, wmówili ci skrycie
Że Bóg wszechmocny na ludzi się gniewa,
Kiedy człek sobie uprzyjemni życie
I na tej ziemi wesoło zaśpiewa.

J Ó Z E F.

Wszak też nie na to człowiek na tym świecie,
Aby dla drugich szył trzewiki wiecznie,
Lecz aby użył i sam czegoś przecie!
Czy to tak straszno — czy tak niebezpiecznie?

P I O T R.

Oj będzie z ciebie, wszystko mi się zdaje,
Braciszek biedny, pokorny, zgnębiony.

J A N.

Ej, rzuć kopyto — lepiej ci przystaje

Dzwonek i puszka — a kark pochylony.

M A R C I N.

Poprzestań bluźnić — bo co w szczęścia chwili
Bywa wysmiane, a nawet wzgardzone,
Często się zdarza, towarzysze mili,
Że w chwili smutku jest błogosławione.

J A N.

Nie stało jeszcze mądrych przypowieści!

J Ó Z E F.

Niech - no pan Marcin text nam tu przeczyta.

P I O T R.

Oto się pycha w twoim sercu mięści.
Lepszym się sądzisz — nieznosnyś i kwita!

M A R C I N.

O broń mnie Boże! — Gdybyście wiedzieli
Jak szczerze, bracia, z wami postępuję!...
Czyście wyrzuty z ust moich słyszeli?
Czyż ja zabawy waszę krytykuję?
Czemuż spokojnie wśród was żyć nie mogę?
Skłonności waszych ja nigdy nie sądzę;
Czemuż wchodzicie w życia mego drogę?
Brakiem miłości przeciw wam nie błędę.

J Ó Z E F.

Kto by tam milczał — gdy jasno widzimy

Że nas nie cierpisz — jesteś dla nas takim,
 Jak byś pogardzał gdy z tobą mówimy...
 Ot, jesteś głupim, nieznośnym dziwakiem!

M A R C I N.

Lzyjcie mnie bracia, lecz poznacie przecie
 Żem jest niewinnie przez was udęczony.
 Cóżem uczynił tak złego na świecie?

J Ó Z E F.

A czy uczęszczasz w owe miasta strony
 Gdzie to na piwku szumna stoi piana?

P I O T R.

Alboż cię kiedy w kręglarni widzimy,
 W ówczas gdy siedząc razem koło dzbana
 Jeden z nas woła głośno a donośnie:
 Dziewięć od razu! wygrana! i kwita.
 Aż człeku miło — aż w sercu radośnie.

J A N.

Któż ciebie kiedy w owych miejscach wita,
 Gdzie to przy stole zabawa tak szczerą,
 A pieniądź mały na kartę rzucony,
 Wielkiej fortunie niby drzwi otwiera —
 Pięćkroć oddaje grosz ów uroniony.

M A R C I N.

Tak, gdy się szczęści, lecz podobno, Janie,
 Czasem w niedzielę znacznie się przegrało,

A w poniedziałek smutek, przeklinanie,
 I na świat cały tak się narzekają!
 A gdy cię widzę w tej czarnej rozpacz,
 Cóż człek innego wtedy mówić może
 Jak nie te słowa — „od bezbożnych graczy
 Racz mnie ochronić, miłosierny Boże!“

J A N.

To myśl szalona! — o bezecny sknero!
 A oczywiście nie pewna wygrana,
 Lecz ci nie zawsze pieniądze zabierają.
 Ta rzecz Marcinie już jest dawno znana.

P I O T R.

A gdyby wszyscy tak jak ty myśleli,
 Żywej by duszy w kręglarni nie było.
 Pół cwancygerka by nawet nie wzięli,
 Aby się nawet i to nie straciło.

M A R C I N.

Oj, niechaj ci się nigdy nie przydarzy,
 Aby zapita czeladzi czereda,
 Gdy w koło ciebie kręci się i gwarzy
 Obdarła z grosza — bo na ówczas bieda!
 Przyznaj się Piotrze — żeś przeszłej niedzieli,
 Pełno miał w głowie, lecz pusto w kieszeni.
 Gdyś wracał do nas, a my cię widzieli
 Jakaś szedł smutny i wchodził do sieni.

P I O T R w uniesieniu.

Co ci do tego — patrzcie no do kata!
 Jaki mi krytyk — a czyś ty szalony?
 Czy to twój pieniądz? czy to twoja strata?

J Ó Z E F.

Ty szewcze jeden wysoko uczony!
 A szydło — skóra — to są twoje sprawy,
 Aleś ty na to zbyt edukowany.

P I O T R i J A N śmiejąc się.

Oj patrzcie no się — mój bracie łaskawy,
 Szewski czeladnik! jaki mi pan z pany!

SCENA DRUGA.

Majster, który w czasie ostatnich słów niespostrzeżony
 wszedł do izby czeladniej.

M A J S T E R surowo.

Cicho! sza! chłopcy — a pókiż tam tego!
 Czyście już wstydu w oczach zapomnieli?
 Czy to być może — by trzech na jednego,
 Jakby ta jędza, razem się uwzięli?
 Dajcie mu pokój! on pierwszy do pracy!

J Ó Z E F.

Tak panie majster to nie do zniesienia,
On gardzi nami — czyż my nieboracy
Tak zasłużyli na te ponizenia?

M A J S T E R.

Wara Marcinie! Wesołość i zgoda,
To nadewszystko potrzebne w warsztacie,
Ciału jak duszy zdrowia, życia doda.
Niech żyje jedność czeladzi, mój bracie!
Bo jako dratwią skóra się ze skórą,
Tak i wesołość duszę z ciałem łączy.
To wstyd dla majstra, gdy z twarzą ponurą
Siedzi czeladnik i lży krwawe sączy.

P I O T R.

Gdybyśmy w pracy lub też przy ochocie
Pana Marcina naśladować chcieli,
Jako rozchodzi się trzewik na błocie
Tak i radości byśmy nie widzieli!

J A N.

Z cicha frant z niego! jaka smutna mina!
Prędzej by człowiek twardą skórę strawił!...
Słowarzyszenie! to cała przyczyna...
Skoro się człowiek między niemi stawił,
Natychmiast nudny i nie do strawienia,
Jako on kleister przez nas używany.

M A R C I N.

Poprzestań na mnie — jam nie do zniesienia
Lecz któryż z tantych jest ci bracie znany?

J A N.

Nie znam i nie chcę! Patrzaj jaki mi to!
Niby ja nie wiem jak się to tam dzieje!
Wszyscyście, wszyscy na jedno kopyto.
Aż się serdecznie z was człowiek uśmieje.

M A J S T E R.

Pókiż tam tego? — już tych drwinek dosyć!
Niechże już temu koniec będzie przecie!
Najprzód, Marcina nadal będę prosić,
By, jak to bywa zwyczajnie na świecie,
Zgodnie, wesoło z czeladzią obcować.
Wam zaś dokuczać jemu zakazuję.
Wolno się pośmiać, wolno pozartować,
Lecz niech żart nigdy życia niezatruje.
(wesoło) Niechaj w warsztacie ustanie robotą,
Bo dziś rocznica mego wyzwolenia.
Bawcie się szczerze — wesoła ochota
Niechaj nam uczi dnia tego wspomnienia.
Precz dziś ze skórą! — tydzień był nie lada,
A praca nasza tego zapłacona.
Niechaj zabawie dusza będzie rada,
I niechaj będzie dziś radość szalona.
Zbierzcie się trochę — a potem na prawo:
Pod złoty okręt! Tam to ja przed laty

Majsterstwa mego dopiłem się krwawo,
 Pijąc ochoczo wraz z memi kamraty.
 I dziś, tam chłopcy, czeka was śniadanie.
 Już szynkarz dawniej o tem uprzedzony.
 Będziecie mieli pieczenie baranię, —
 Wszak to podobno specał ulubiony?

C Z E L A D Ź jednogłośnie.

Niech żyje Majster! niech nam żyje długo!

P I O T R.

Przyjmujem pieczeń — z serca przyjmujemy.

M A J S T E R.

Spieszcie się naprzód — a my stroną drugą
 Z Elżbietką moją za wami przyjdziemy.
 (Do siebie) Czemuż o synie zamilczam wspomnienia?

C Z E L A D Ź.

Wiwat pan majster! Wiwat, niechaj żyje!

J A N.

To rzecz wyborna barania pieczenia.

J Ó Z E F.

I trochę przecie każdy się upije...
 Jam jak poczyłion za piwem spragniony.

M A J S T E R śmiejąc się.

No idźcie — idźcie — bo nam czas upłynie.

C Z E L A D Ź.

Hej dalej, idźmy — w owe miasta strony,
Pod złoty okręt — staniem tam w godzinie.

SCENA TRZECIA.

MAJSTER i M A R C I N.

Cóż to Marcinie? cóż cię to wstrzymuje?
Czy i dziś z nimi będziesz rozłączony?
Wtedy prawdziwie — złość ich już pojmuję!
Ja na ich miejscu byłbym obrażony.

M A R C I N.

Jabym was zgryźć miał, ja, majstrze kochany!
O wprzód bym pewnie znieńwidził siebie.
Tyś tak poczciwy i tak uwielbiany,
My jako ojca miłujemy ciebie.

M A J S T E R.

To mi świadectwo sumienie oddaje,
Że obowiązki spełniam ku wam szczerze.
Kocham czeladkę — choć ostro pojąję,
Trzymam w karności i chrześcijańskiej wierze.
Nie dość sumiennie zapłacić robotę;
Ja was uważam jako własne syny,
Pragnę zaszczepiać w sercach waszych cnotę,
I ten mój zamiar jest w życiu jedyny:
Byście się w domu moim nauczyli,

Na czym to szczęście domowe zależy,
I w własnych domach żebyście szczepili
Da Bóg doczekać cnotę jak należy.

M A R C I N.

Kto, mając oczy, szczęście widzieć żąda
I poznać pragnie rzemieślnika życie,
Ten niech na ciebie majstrze nasz spogląda,
Jak powinności wszelkie pełnisz skrycie.
O gdyby w innych tak się domach działo!

M A J S T E R.

Jak tam kto czyni, mnie tam nic do tego!
I mnieby pytać o to nieprzystało;
Lecz złość mnie bierze gdy widzę co złego.
Jako się młodzież ze starszych natrząsa,
A starodawne wydrwiwa zwyczaję!
I tak, czeladnik ów, chłystek bez wąsa,
Widząc że majster koło stołu staje,
Mówiąc — „Do Ciebie oczy są zwrócone
Nasyć nas Panie wedle Twojej woli“.
A on się z śmiechem obraca na stronę!
Wtedy Marcinie — wtedy serce boli.
Alboż do smutku i to nie przywodzi,
Kiedy rzemieślnik, i zdalny i młody,
Jakby paniczyk wystrojony chodzi
A wszystko suto, według świeżej mody.
Wstydzą się stanu swojego, do kata!
Za hańbę liczą zwać się mieszczaninem,
Wszystko poświęcą dla nędznego świata,

A próżność, moda, szczęściem ich jedynem.
 Żółć się przelewa, kiedy to dziewczyna,
 Ufna w urodę i bite talary,
 Nie chce za męża rzemieślników syna,
 Bo krwawo ojciec jej pracował stary.
 Gardzi pocziwym i czerstwym młodzianem,
 Z wstrętem odrzuca dłoń pracą zoraną,
 Bo błazen jakiś, zwąc się Imci Panem,
 Wielmożną panną zwie swą ukochaną...
 Lecz na co zdadzą się te wykrzykniki?
 Ot, lepiej własnych przypilnować śmieci.
 I kiedy spojrzę na me czeladniki
 Widzę Marcina — to najlepsze z dzieci —
 Ale ponury, czoło zasępione,
 Smętne marzenia głowę mu zajęły,
 Porzuć, Marcinie, — smutki urojone!
 Powiedz mi, synu, z kąd one się wzięły?

M A R C I N.

Przyszliście dzisiaj, mój majstrze kochany,
 Jak już od rana tak cierpiałem wiele,
 Za to że w szynkach jestem mało znany,
 A gry i zabaw z czeladzią nie dzielę.
 Zganiłeś ostro podobne zatargi,
 A nakazując wesołość i zgodę
 Rzekłeś, bym nie dał powodu do skargi
 I nie zasmucał umysły ich młode.
 Gdybym tej waszej nie słuchał przestrogi,
 Wszakże na ówczas pewnie byś osądził
 Że cię nie kocham, mój ty majstrze drogi!

O jakbym wtedy przeciw tobie błdził.

M A J S T E R.

Dobrze Marcinie! spróbuj tylko szczerze!
Przyjdzie ci, przyjdzie wesołość jak z płatka.

M A R C I N.

Oj nigdy majstrze, temu nie uwierzę.

M A J S T E R.

Nie przyprowadzaj mnie dziś do ostatka!
Jakto Marcinie — chłopiec jak ty młody,
Zdatny w rzemiośle i do pracy skory,
Nie miałby użyć zabawy, swobody!
Wszak do radości niema lepszej pory.
To są dziwactwa — one ustać muszą.
Z kąd te westchnienia i ten wieczny smutek?
W *Stowarzyszeniu!* tam ci głowę suszą!
Ich to robota — ich rozmowy skutek!
To do niczego — po co tych nowości?
Jam też od razu zgruntował rzecz całą:
Po ciężkiej pracy trzeba wesołości,
Wina lub piwa chłopcom by się zdało.
Przechadzka, figle, to mi to dla zucha!
Godziunki, pieśni, wszystko piękne, ale
To do roboty nie dodaje ducha:
To też warsztaty przemienią w szpitalę.

M A R C I N.

Posłuchaj majstrze — wy jeszcze nie znacie...

M A J S T E R.

Tych nabożnisiów — wspólnej ich gospody?
 Czemu bym nie znał? — o i jak znam bracie!
 Wszak o tym mówią — i w tobie dowody
 Jak wkrótce zmienią człowieka młodego.
 Bo czego nadto tego i za wiele!
 Oto znów wybryk stulecia naszego.
 Za naszych czasów — bywało w niedzielę
 Ubrał się człowiek — dalej jaki taki
 Wprost do kościoła — czysto, przyzwoicie,
 A same dziarskie i tęgie chłopaki,
 Jeden w drugiego! — To to było życie!
 A na Wielkanoc — raz się znowu w roku
 Przystępywało do Bożego stołu,
 Strojnie a suto, wśród ludu natłoku
 Jako się godzi — ot wszyscy pospołu!
 Bez Stowarzyszeń — żyło się na świecie,
 A żyło lepiej, więcej niż pół wieka,
 Od was świętoszków — Czy mnie też masz przecie
 Za gorszącego czy złego człowieka!
 Obcy to wymysł więc go nienawidzę,
 Dla cudzych krajów stosowny jedynie;
 Nam się nie przyda — a więc się nim brzydę.
 Uczyn to dla mnie, porzuć to Marcinie!

M A R C I N.

Dzisiejszy wieczór, majstrze ulubiony,
 Miał być spędzony hucznie i wesoło.
 A tą rozmową byłbyś zasmucony

I czeladników zasepiłbyś koło.

Dziś już zapóźno — inną — inną razą ,

Serce przed tobą , jak ojcu , odkryję.

Lecz ci przyrzekam — czeladzi obrazą

Już cię nie zmartwię — i wszelkich użyję

Środków godziwych do śmiechu, radości ,

Bo rady twoje zachowam w pamięci.

Lecz jeżeli jednak , mimo szczerych chęci ,

Zmienić nie zdołam humoru mojego ,

Wszak ci to , panie majster , nie zawadzi...

Wyszukasz sobie chłopaka zwawszego ,

A on się przyda do twojej czeladzi!

M A J S T E R wzruszony.

Co ty mi mówisz , nie gryź mnie , Marcinie!

Ach , któż ci szczerzej sprzyja na tym świecie!..

Śmieję się jak drudzy — oto cię jedynie

Proszę na wszystko — miejże rozum przecie!

Jabym oddalić cię miał z mego domu?

O na to jeszcze czekać będziesz długo!

Pozostań w bractwie — nic nie mów nikomu ,

Lecz nie wyglądam już klasztornym sługą!

M A R C I N.

Będę się starał dogodzić twej woli.

Miejże cierpliwość , mój majstrze poczciwy.

M A J S T E R.

Dobrze Marcinie , już jestem szczęśliwy!

Pospiesz do chłopców — bo ich serce boli.

Że ciebie niema — porządne chłopaki!
Może nie prawda? — cóż im masz zarzucić?

M A R C I N.

Niemam zarzutu — czyż czynilem jaki?
Czyż ja przychodzę spokój tu zakłócić?

M A J S T E R.

Biegnij ze, biegnij — i trzymaj dziś z niemi,
Dziel ich wesołość ucztę i zabawy.

M A R C I N.

Idę już idę — lecz kiedyż ujrzemy,
Ciebie z rodziną — mój majstrze łaskawy?

M A J S T E R.

Wkrótce nadejdę — te moje kobiety
Raz się też przecie już zebrać musiały.

M A R C I N (odchodzi.)

M A J S T E R dalej mówi.

Wstąp-no po drodze do mojej Elżbiety,
Powiedz im proszę aby pamiętały
By też trzewiki nie zbyt ciasne miała,
Bo tak zdarzyło się przeszłego roku,
Dalejże w taniec — a panna kuląła,
Aż łzy od bólu kręciły się w oku.

M A R C I N.

Wszystko dopełnię. (Do siebie) O ciesz się, Marcinie,

Bo w pośród tańcu zobaczysz ją przele ;
 Nią jedną cieszyć się będziesz jedynie,
 Bo ją jedyną miłujesz na świecie.

SCENA CZWARTA.

M A J S T E R układa na stole zakończoną robotę.

Wszystko się, wszystko dobrze skończyło,
 A skargi niema! — Chwała Tobie Panie!
 Że się tą razą wszystkim dogodziło.
 Zaspokojone też każde żądanie;
 A choć tam który trzewiczek uciśnie,
 Już w tem nie będzie pana majstra straty.
 Ot, przecie pieniądz jakiś w rękach błysnie
 I na wydatki wystarczą intraty.
 Oto dla córki pana Ferwaltera
 Ślubne trzewiczki, bo wkrótce zamęście.
 Śliczna panienka! to też kawalera
 Grackiego bierze — daj im Boże szczęście!
 To mi to trzewik — świeci się z daleka,
 A nigdzie plamki — a jak to uszyto!
 Dobrze to mówią ludzie już od wieka:
 Nie każdy trzewik na jedno kopyto!
 Poczciwy Marcin! niech go kaci biorą!
 A Józefowi jak też poszło z ręki?
 Ciepłe buciki — manszester ze skórą
 Dla Kreisratowy — dobrze — Bogu dzięki!
 O kapitalnie! Hej Józefie — brawo!

Czyż niemówiłem — i oni niczego!
 Każdy pracuje i dobrze i zwawo.
 Lecz patrzmy dalej — zacznijmy od tego,
 Czy jak należy buciki uszyte.

Dosyć się z dziećmi namęczyła, dosyć,
 Znam ja od dawna tę biedną kobietę,
 Będzie już miała co przez zimę nosić!
 A z rumatyzmem co ona ma biedy!

(trzymaj razem buciki zimowe i ślubne trzewiki.)

Starość i młodość — Czy też staroście
 Ślubne trzewiki śnią się też niekiedy?..
 Chciałbym to wszystko przegłdnąć w godzinie,
 Patrzmy więc dalej. Oto praca Jana,
 Do codziennego buciki użycia,
 Dla panny Malci — to panienka znana,
 Podobno ciasne tu koło podbicia. —
 Śliczna to nóżka — wie o tem dziewczyna,
 A jak na ogniu obuwie się pali,
 Bo na ulicy masz ją co godzina.
 Szewcy nie będą na nią narzekali!
 A to znów Piotra! dobrze, doskonale!
 Ho, elastyczne jak widzę kalosze!
 Niech się z robotą schowają kowale —
 To na moc szyte — to to listonosze
 Mają wygodę, będą się też cieszyć.
 Pan Maxymilian po największem błocie
 Może do ludzi z dobrą wieścią spieszyć..
 Wszystko w porządku, już i po robocie.
 Człowiek się teraz i pobawić może.
 Tydzień przeminął — rachunek skończony,

Za łaskę Twoją dzięki Tobie Boże!
 Wrócę już teraz do córki i żony,
 Wierną mam żonę i córkę pocziwą,
 I wszystko — wszystko szłoby jak należy.
 Mam i przyjaciół i czeladź zycziwą;
 Lecz jeden kamień na mej duszy leży.
 Robak zgryzoty serce moje toczy
 I coraz cięższe biedne moje życie,
 A ów na pozór pan majster ochoczy
 Łzami gorzkimi zalewa się skrycie!
 Kogoż do żalu stan mój nie poruszy?
 Czemu bezsenne we łzach nocy trawię?
 Dla czego niema pokoju w mej duszy,
 Ni to przy pracy ni to przy zabawie?
 Każdy kęs chleba zółcią zaprawiony?
 Mam że wyznawać że syn mój wyrodny,
 I przeto, przeto jestem zasmucony!
 Precz z tem wspomnieniem! — on tego nie godny!
 On cios zabójczy zadał sercu memu,
 I już to serce kochać go nie może.
 Cóż się zostało ojcu nieszczęsnemu —
 Ciebie za dziecko błagać wielki Boże!
 Obyś przebaczył — obyś błogosławił!....
 Pójdę już, pójdę — cóż ten smutek nada?
 Bym na tych myślach dnie i nocy trawił
 Nic nie pomoże — wieczna, wieczna biada!
 Kto w przepaść błędu rzuci się zuchwale,
 A honor własny ma już za stracony,
 Grzeszy tak jawnie i zapamiętale,
 Ten bez ratunku, na wieki zgubiony!

Ten bez rabinów, bez żółtych rabinów, bez
 Głowy jak jawnie i wspaniale, jak
 A honor własny ma już za stracony, jak
 Kto w przepaść błędą tam się zuchwaia, jak
 Nie nie pomóżcie, wstanie, wleczcie, dajcie
 Bym na (sich) wysłał, dnie i noc stawię się
 Pójdę już, pójdę — co ten smutek mada? —
 Obyś przebaczył — obyś błogosławił —
 Ciebie za dźwięk, dźwięk, dźwięk, dźwięk, dźwięk
 Cóż się zosłało, ojcze, niestety —
 I już to serce kochać go nie może, nie może
 On cios zapłodzi, zabił serce, niemu, ciału, a ob
 Próż x ten wspaniały — on tego nie godny!
 I przeto, przeto, przeto, przeto, przeto, przeto
 Mian ze wzniesie, niechaj, niechaj, niechaj, niechaj
 Każde, każde, każde, każde, każde, każde, każde
 Ni to przy, ni to przy, ni to przy, ni to przy
 Dla czego, niema, pokój, w mi, mi, mi, mi, mi
 Ciemu, ciemu, ciemu, ciemu, ciemu, ciemu, ciemu
 Kogoś do zalu, stan, mi, mi, mi, mi, mi, mi, mi
 Iżami, go, go, go, go, go, go, go, go, go, go
 A ów, na, do, do, do, do, do, do, do, do, do, do
 I cory, cory, cory, cory, cory, cory, cory, cory
 Robak, x, x, x, x, x, x, x, x, x, x, x, x, x
 Iecz, jeden, jeden, jeden, jeden, jeden, jeden, jeden
 Mam i, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i, i
 I wszystkie, wszystkie, wszystkie, wszystkie, wszystkie
 Wierzę, już, teraz, do, do, do, do, do, do, do, do
 Za, jakie, Twoje, dajcie, Tobie, Tobie, Tobie, Tobie

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

M A R C I N (powraca z gospody i smutny zasiała przy stole.)

Jak tam wesoło, jak radośnie skaczą!
Skrzypek rzępoli, że aż się rwą strony.
O choć na chwilę niechże puścić raczą!
Każdy się kręci — pędzi jak szalony,
Śmieją się — krzyczą — że też im to przecie
Nic nie dolega — czy żadnej boleści
Serce ich nie zna na tym biednym świecie?
Ni zaden smutek w duszy się nie mieści?
Bądźcie szczęśliwi! — niechaj czarna chmura
Nigdy nie zaćmi tej waszej radości!
Bądźcie weseli — niechaj myśl ponura
Nigdy w umysłach waszych nie zagości!...
Biedny Marcinie! radbyś się weselił...

Nie znam zawiści towarzysze mili,
 Z chęcią zabawy wasze bym podzielił,
 Gdyby mnie smutek nie dręczył w tej chwili.
 O wiem ja dobrze, że gość zasmucony,
 W około siebie rozszerza tęsknotę...
 Dlatego trochę przyszedłem w te strony,
 By nie przerywać czeladzi ochotę.
 Wróciłem spiesznie do domu na chwilę...
 Oni się bawią tak dobrze i szczerze!
 Mnie tam nie trzeba — wszakże ich jest tyle,
 Że się nikt nawet na tym nie spostrzeże.
 Pali fajeczkę nasz majster pocziwy,
 A w koło niego przyjaciół drużyna,
 Rozmawia z niemi, i wesół, szczęśliwy,
 Na dni młodości z rozkoszą wspomina.
 Pani majstrowa, z życzliwemi kumy,
 Dnia wyzwolenia przygody rozbiera,
 I opowiada pełna szczęścia, dumy,
 Jaka zabawa w ówczas była szczerą.
 I znów podobny czeka ją dzień szczęścia.
 Srebrne wesele suto ma obchodzić.
 Cwierć wieku mija od dnia jej zamęścia,
 A dzień tak wielki chce sobie osłodzić.
 Innym, znów innym — taniec tylko w głowie,
 I cóż ja pocznę? — co mam czynić w świecie?
 Chcę też sam na sam z sobą na rozmowie
 Spędzić kwadransik — to mi wolno przecie!
 Znów potem pójdę! znów będę radośny!
 Innym mnie dzisiaj majster nie zobaczy.

(Zamyślony spuszcza głowę na dół — po niejkiej chwili słycać
głos i mocne pukanie.)

Cóż to? ktoś idzie! — cóż za głos donośny?

Czy obstalunek? niechże pan wejść raczy!

(otwiera drzwi.)

SCENA DRUGA.

Karol jako czeladnik wędrowny wchodzi.

M A R C I N.

Co widzę? Wojciech — ach to bydź nie może!

K A R O L.

Marcin! Ten anioł wśród żywota drogi!

Ten mój opiekun! O Ty wielki Boże!

Jego spotykam, wchodząc na te progi.

M A R C I N.

Wojciechu, bracie, mój ty przyjacielu!

Cokolwiek w dom ten przyprowadza ciebie,

Anioł cię przywiódł, i po latach wielu

Ujrzysz to serce przychylne dla siebie.

O niechaj dzień ten będzie pochwalony!

K A R O L.

Cóż ja tu pocznę? mój dobry Marcinie,

W które się udać miasta tego strony?

O co cię badać w tak późnej godzinie?

M A R C I N.

Zacznij od tego: — czyś twe przedsięwzięcia

Wiernie wykonał — czyś w słowie niezłomny?

Mamże wieszować tak wielkiego szczęścia?

Kłórego sprawcą, *mąż ów wiekopomny!*

Chowasz ty w sercu jego napomnienia?

Pomnisz na święte jego pożegnanie,

W dzień ów pamiętny z nami rozłączenia?

Odpowiedz bracie na to zapytanie!

K A R O L.

Comkolwiek przyrzekł mężowi świętemu,

Wszystkom dotrzymał wiernie, Bogu dzięki!

Popatrz mi w oczy — wierz słowu mojemu,

Uczuj to silne drzenie mojej ręki.

M A R C I N.

Bogu niech będzie wieczna za to chwała!

Teraz raz jeszcze bądź mi pozdrowiony!

(ściska go)

Widzieć tu ciebie — to radość nie mała,

Mój przyjacielu! lecz zkądże w te strony,

I w ten dom obcy, i w te cudze progi

Przychodzisz w nocy? zkąd cię w tym warsztacie

Dzisiaj oglądam? mój Wojciechu drogi!

I tak zmęczonym? — ach powiedz mi bracie!

K A R O L.

Obcym więc dla mnie zwiesz ten dom? Marcynie!
 O już boleści przepelnia się miara...
 Obcym! tem słowem spełni się jedynie,
 Występków mnogich i przewinień kara!

M A R C I N.

Co mówisz? czyliż nowe przewinienie
 Cięży na tobie? — nie, to być nie może!

K A R O L.

Uspokój ze się — mam czyste sumienie,
 Nie uczyniłem nic złego, broń Boże!
 Lecz do wyrzutów masz zawsze przyczynę.
 Bo choć me grzechy są ci dawno znane,
 Jeszcze ci jedną ukrywałem winę.
 Lecz dziś już wszelkie zastony zerwane!

M A R C I N.

Rozwiąż zagadki słowo zatajone!

K A R O L.

Gdyś mnie w tej obcej tam napotkał ziemi,
 A zdrowie było na ówczas zwałłone,
 Słabym się tułał pomiędzy cudzemi,
 Tyś się tej wielkiej nędzy ulitował!
 Z przepaści zbrodni tyś wydzwignął skrycie,
 Do cnót przybytku tyś drogę torował,
 I tam to nowe rozpocząłem życie.

A chcąc przed ojcem mnogie ukryć winy,
 By ich nie doszedł z daleka ni z bliska,
 Ten mi już sposób pozostał jedyny,
 Że się własnego zapałem nazwiska.
 Nie chciałem hańby przynieść mej rodzinie,
 I cudze imię dla tego przybrałem.
 Szlachetny zamiar przyznasz mi w tym czynie...
 Wojciechem Szlawskim — wtedy się nazwałem.
 Pod tém imieniem znałeś mnie mój drogi,
 I to ostatnie przebac uchybienie!
 Jam się tak lękał — że mnie wyrok srogi
 Czeka w tym domu za me przewinienie!
 Duszę obiegła niesłychana trwoga,
 Czy ojciec jeszcze przyjmie i przebaczy,
 A wstyd fałszywy — ta do kłamstwa droga,
 Niech mnie przed tobą bracie wytłumaczy!
 I od dnia do dnia zwlekałem wyznanie,
 Coraz trudniejszą prawda się stawiała!
 Wkrótce nadeszło znów nasze rozstanie,
 Jam znowu zamilkł — tak się ma rzecz cała.
 Miałem ostatnie połączenia chwile
 Przykrem wyznaniem obu nam zasmucić,
 A wyrok srogi — za uchybień tyle,
 Przeciwno sobie czyż mogłem odwrócić?
 Czy i to jeszcze przebaczysz Marcinie?

M A R C I N.

Byłbym godny zwać się uczniem jego,
 Gdybym o twojej nie zapomniiał winie?
 Cóż dalej powiesz?

K A R O L.

Słucham głosu twego,
I szczerą prawdę przed tobą wyznaję:
Ten dom przez ciebie obcym dziś nazwany,
Dom, w którym nędznym i wygnańcem stoję,
To dom ojcowski, własny, ukochany.

M A R C I N.

Wszchemocny Boże na niebie i ziemi!
Jakże to dziwne są twoje zrzádenia!

K A R O L.

Znasz mych rodziców? a żyjąc tu z niemi,
Czy nie słyszałeś Karola imienia?

M A R C I N.

Karol! tak, Karol! — oh teraz pojmuję,
To ciężkie jego i ciągle zmartwienie,
Tać to jest boleść — którą w sercu czuje.

K A R O L.

Ach, czyż ci o mnie uczynił wspomnienie!

M A R C I N.

Otwarcie nigdy — prawdę ci wyznaję.

K A R O L.

Jam tak zasłużył — o wszchemocny Boże!

M A R C I N.

Lecz były chwile , wszystko mi się zdaje ,
 Kiedy człek ukryć uczuć swych nie może.
 Bo tak gwałtownie wtedy serce boli...
 Wtedy to imię twoje wymawiał skrycie ,
 Bo nie był w ówczas panem swojej woli ,
 O , wtedy błagał Boga za swe dziecko !
 Niby się gniewał , i niby się srożył ,
 Zaklinał we łzach błędzącego syna :
 By się poprawił i na nowo ożył !
 A darowana jemu będzie wina !
 O , w sercu ojca jeszcze jesteś żywy !

K A R O L.

Mój dobrodzieju! — mój pocieszycielu !
 Tyś stał się dla mnie anioł stróż prawdziwy.
 A matka , siostra? po latach tak wielu ,
 Zechczą mnie nazwać i synem , i bratem ?

M A R C I N.

Ufaj! a skoro ufasz Bogu szczerze ,
 Odzyskasz matkę , i poprzestań na tem !

K A R O L.

Czy prawdę mówisz? — oh , ja ci tak wierzę !

M A R C I N.

Wszystko to jeszcze snem mi się wydaje ,
 Teraz rozebrać rzecz całą potrzeba ,

I że to właśnie dzisiaj się to staje...
 Ześlij mi Boże ducha rady z nieba!
 Natchnij mnie siłą! Dziś rocznica wielka,
 Jak ojciec majstrem został wyzwolony;
 Dla tego praca ustała dziś wszelka,
 I wszyscy poszli daleko, w te strony
 Gdzie *Złoty okręt* do zabawy wzywa;
 Inną tym czasem Bóg radość zgotował,
 A radość z Nieba — to rozkosz prawdziwa!
 Karolu! proszę, abys się tu schował.
 Tak, tu w alkierzu — nikt ci nie przeszkodzi,
 Bo tam się bawią sposobem szalonym;
 Co tu usłyszysz, nic cię nie obchodzi,
 Zostań ukrytym i niepostrzeżonym.
 A bądź spokojnym, póki nie zawołam.
 Bóg będzie z nami! On umocni siły!
 Bez jego łaski cóż uczynić zdołam?
 Ukryj się, ukryj, przyjacielu miły.
 Ja za chwil kilka do ciebie powrócę.

SCENA TRZECIA.

K A R O L (klęka)

Ojczye niebieski! Jakoś mnie z litości
 Wyrwał z przepaści — do nóg się Twych rzucę,
 I błagać będę w dziecinnej miłości:
 Niech serce ojca mojego się wzruszy,

Niechaj uwierzy, że ten żal serdeczny
 Nie jest zmyślonym, że ja z głębi duszy
 Pragnę Ci służyć, Boże mój odwieczny!
 Pragnę poprawy — niechaj dawna wina
 Pójdzie w niepamięć — niechaj ojciec przebaczy,
 Do serca swego niech przycisnie syna,
 Gdy w oczach jego łzę żalu zobaczy.

(wstaje.)

Tać to izdebka skromna i uboga,
 W której przed laty padłem na kolana...
 A ojciec zegnał i matka ta droga
 Błogosławiła mi łzami zalana!
 Jam ich opuszczał, w świat idąc daleki...
 Dziś wracam do nich z silnem serca drzeniem;
 Boże! użyczaj Twej świętej opieki!
 Bądź wola Twoja! nie gardź mem westchnieniem!

(kryje się w alkierzu)

SCENA CZWARTA.

Wchodzi majster z Marcinem.

M A J S T E R.

To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło!
 Znam ja do kała te Marcina psoty,
 Po co mnie wołasz? może ci się śniło,
 Bym z miarą w rękę czekał tu roboty.

M A R C I N.

Ej, niech pan majster tak z góry nie bierze,
 Żem się pospieszył — gdyż po krótkiej chwili,
 Gdy mnie wysłuchasz, ucieszysz się szczerze,
 I wszyscy, wszyscy, będziemy się cieszyli.

M A J S T E R.

No, słucham, słucham, zacznij w imie Boże!
 A spiesz się, proszę — bo wszystko się zwleka,
 A pan Szmid sąsiad czekać tam nie może,
 Ja muszę wrócić, a tu czas ucieka!

M A R C I N.

Niech sobie spocznie — a ja tu nawiasem
 Opowiem majstrze krocitką przygodę;
 Lecz siądźcie proszę na krzesła tym czasem,
 Oj, bo te wasze nogi już nie młode!

M A J S T E R.

Do stu piorunów! — tumanisz starego...
 A tam rozprawia mój sąsiad pocziwy.
 Udajesz niby że coś wiesz ważnego,
 A nic w tym niema — stoję ledwo żywy.

M A R C I N.

Nie bój się majstrze — za Szmida rozmowę
 Suto wam, suto — dzisiaj wynadgradzę.
 O! zaraz na to stawiam moją głowę.

M A J S T E R.

Powiedz raz przecie — po co tu przychodzę?
Jeszcze cię nigdy nie widział w tym stanie,
Nibyś odmłodził — i cóż się to znaczy?

M A R C I N.

Tak panie majster — cieszę się jak dziecię,
A rzecz się sama z siebie wytłumaczy:
Przyjaciel jeden — droższy mi nad życie,
Po latach wielu o mnie się dopytał,
I ów czeladnik tak kochany szczerze,
Wprost też tu do mnie w tej chwili zawitał.

M A J S T E R.

To pięknie, pięknie — lecz złość na to bierze,
Żem ja dla niego biegł na łeb na szyję,
A jam się z dobrym bawił przyjacielem...
Ja też spoczynku nigdy nie użyję.

M A R C I N.

O, panie majster! ja z takim weselem
Patrzę na niego i widzę te zmiany,
On stał się rządnym, dobrym, pracowitym,
O ciesz się ze mną, mój majstrze kochany!

M A J S T E R.

Wszakże wiem dobrze, że jest przyzwoitym,
Nie wdawałbyś się z chłopcem lada jakim;
A cóż dopiero takie przywiązanie?

M A R C I N.

Lecz mój przyjaciel nie zawsze był takim.
 Ja go poznałem w opłakany stanie,
 A chcąc byś pojał moje dziś wesele,
 Całą przygodę przed tobą odkryję
 I co wiem o nim szczerze ci udzielię.
 On był łajdakiem — włóczęgą i graczem;
 Stargawszy ciała oraz duszy siły,
 W obcym się kraju stał nędznym tułaczem,
 Namiejętności w przepaść go wtrąciły.
 Od obcych ludzi był znieawidzonym,
 Co gorzej jeszcze — że w własnej rodzinie
 Ojciec go własny zwie synem straconym.

M A J S T E R.

BIBLIOTEKA

UMCS

LUBLIN

Synem straconym! — kończ prędzej Marcinie!
 O, kończ dla Boga! bo to powieść smutna,
 Serce rozdziera — pamięci przywodzi
 Przykre wspomnienia — i boleść okrutna,
 Bo sercu bliska, z tych się wspomnień rodzi!

M A R C I N.

Wysłuchaj, proszę, do końca powieści.
 Ten syn występny, dla ojca zgubiony,
 Co się przyczyną stał tylu boleści,
 Na drogę cnoty i wiary zwrócony.

M A J S T E R.

Zwrócony mówisz? on bez czei i wiary!

I ty go znałeś? — znana ci rodzina
 Tego młodzieńca — ojciec jego stary
 Trzykroć szczęśliwy — szczęśliwa godzina,
 W której odzyska marnotrawne dziecko!
 O! jakąż łaskę gotują mu Nieba,
 Za te łzy gorzkie, które płakał skrycie.

M A R C I N.

Oto najpierwej wiedzieć wam potrzeba:
 Trzy lata temu — zaszedłem daleko,
 Jako wędrownik, biedny, zubożały,
 Aż do Kolonii, po nad Renem rzeką.
 Lecz pierwej życia opowiem bieg cały.
 Byłem ja wprzód u majstra jednego,
 Gdzie mi młodości upłynęły lata,
 Lecz on się przeniósł do życia lepszego.
 Była to dla mnie wielka, ciężka strata.
 Wtedy to, wtedy kij wziąłem wędrowny,
 Szedłem do miasta — widać go z daleka,
 Zachód był słońca, widok to cudowny...
 Lecz w wielkim mieście, wielka nędza czeka.
 Wśród tylu domów, które tam widziałem,
 Nie było serca, dachu dla tułaczy.
 Ach, cóż ja pocnę biedny? pomyślałem,
 I już się prawie oddałem rozpaczy!
 Lecz po nad złote, różnobarwne chmury,
 I po nad ludzkie mieszkania wysoko,
 Z Bożego domu piął się krzyż do góry,
 I tam spoczęło wędrownika oko!
 Znak to był z Nieba na ziemię spuszczoney,

Jam go zrozumiał! westchnąłem do Boga
 I w bramy miasta wszedłem pocieszony,
 A z serca straszna ustąpiła trwoga! —
 Cóż ja w tem mieście biedy nie zaznałem!
 Ciężkie, bolesne próby mnie czekały,
 Długo roboty, przytulku szukałem,
 I na tych trudach czas schodził nie mały.
 Znalazł się majster surowy nareszcie,
 Przyjął do domu z ponurem wejrzeniem.
 Czeladź rozwiązała, jak to w wielkiem mieście,
 Dręczyła ciągle wszelkiem dokuczeniem.
 Aż w końcu nędza, cierpienie, zgryzota,
 O ciężką, wielką słabość przyprawiły.
 Brak wszelkich starań i serca tęschnota
 W łóżce szpitalne chorego złożyły.
 Tam już nadzieja opuściła wszelka...
 Lecz gdzieś się sądził całkiem opuszczony,
 Tam to poznałem jak moc Boska wielka,
 Bom w tym szpitalu zostałem pocieszony.
 Ksiądz domu tego był to kapłan święty,
 Niósł biednym chorym ostatnie pociechy;
 Jam był ku niemu miłością przejęty,
 Wyznałem szczerze nie tylko me grzechy...
 Lecz wszystko, wszystko, co się w sercu działo,
 I troski wszelkie i wszelkie kłopoty,
 I co się tylko w życiu wycierpiało,
 I wielką nędzę i wielkie zgryzoty.
 On to mi wskazał, to święte schronienie,
 A jam tu znalazł przyjaciół i braci,
 Znalazłem szczęście, rodzinę, wytnienie,

Niech Bóg stokrotnie wszystko mu odpłaci.
 Lecz nie sam jeden tam wkrótce zdążyłem...
 Słowa pociechy tego dusz lekarza
 Wiele pomogły, i już zdrowszy byłem...
 Nie-długo potem innego nędzarza
 Do tejże samej przyniesiono sali.
 Leżał koło mnie tuż, po prawej ręce.
 Lecz doktorowie głową potrząsali;
 A posługacze przytomni tej męce,
 Widząc stan zdrowia jego opłakany,
 Głośno mówili: — „próżno go ratować!
 Biedne chłopczyko! — nędzny, schorowany,
 Ot, nie zadługo będziemy go chować.“
 A chory jęczał lub wzdychał głęboko,
 Pociechy mojej i litości żądał,
 Na pół zamarte zwrócił na mnie oko,
 Budził się ze snu i na mnie spoglądał!
 Tak mi się ciężko na sercu zrobiło,
 „Miej ufność w Bogu“ rzekłem doń wzruszony,
 Wszakże Bóg mocen obdarzyć cię siłą“.
 A on zapłakał, i niepocieszony
 Cichym rzekł głosem i pełnym boleści:
 „Módl się o Boskie dla mnie zmiłowanie!
 Bo tylko dobrych Bóg w swem sercu mieści.
 Jam ciężko zgrzeszył“. To pierwsze wyznanie
 Wielkich przewinień mego przyjaciela.
 A Bóg wewnątrz mnie mówił do mnie skrycie:
 „Ty go nieopuszcz! łaska ma udziela
 Powrót do cnoty — z nią zdrowie i życie.“
 Gdy już szpitalne opuściłem łożo,

Wierny danemu niegdyś przyrzeczeniu,
 Zawiódł mnie kapłan prosto w imie Boże,
 Tam gdzie powolny świętemu natchnieniu,
 Mąż pełen Boga i bliźnich miłości,
 W przygodach naszych doświadczony skrycie
 Dziwnem zrządzeniem Boskiej Opatrzności,
 Zeznał, jak ciężkie rzemieślnika życie.
 On uczył w sercu, co zdziałać należy,
 By wśród tych cierni i życia i pracy,
 Zapewnić szczęście czeladniej młodzieży,
 I by rozrywkę mieli nieboracy.
 Wystawcie sobie spokojne schronienie,
 Dom cichy, czysty, i tak miły duszy,
 Bo się w nim kłótnia ani złorzeczenie,
 Nigdy o wasze nie obije uszy.
 Ani tam zbytku — ani próżnej wrzawy,
 A tak swobodnie i tak miło przecie
 Że takiej szczerzej, uczciwej zabawy,
 Niema podobno już na całym świecie!
 Wchodzisz do domu wśród młodej czeladzi,
 Już cię gospodarz przyjmuje wesoło,
 Wszędzie uprzejmie za sobą prowadzi.
 A tu na ścianach zawieszone w koło
 Święte obrazy lub mieszczan znamiona,
 Tu czuć się daje, że Bóg jest nas blisko...
 Godność człowieka w tych murach uczczona,
 Bo tu jest wiary i cnoty siedlisko.
 Oto młodzieży rzemieślniczej grono,
 Wesołość widać i z oczów i z twarzy,
 Tu gry niewinne z żartami złączono,

Tu się zabawa z pożytkiem kojarzy.
 „Numer czterdziesty!” tak gospodarz woła,
 I znanym znakiem młodzież swą ostrzega;
 A jednogłówna pieśń huczno wesółą,
 Już się w tej chwili po sali rozlega!
 Znów odgłos dzwonka... cóż się to dzieć będzie?
 Pieśń ukończona — a tu uroczyście
 Skupia się młodzież i tak cicho wszędzie;
 I z natężeniem słucha rzeczywiście,
 Jako gość pewien światły i uczony,
 Którego rozum pychę nie nadyma,
 W sposób przystępny, miły, ułatwiony,
 Zebranej młodzi stawia przed oczyma
 Różne wyjątki z nauki przyrody,
 Lub też z ojczystych coś dziejów przytacza.
 A mówi pięknie, — to też słucha młody,
 Bo młodzież chętnie uczonych ołacza.
 Lecz oto dzwonek znów słyhać wieczorem...
 Jeżeli ci majstrze wolna chwila sprzyja,
 Pozostań dłużej a zagrzmia ci chorem
 Rzewnie, pobożnie znów Ave Marya!
 Święty początek — święte zakończenie!
 Kapłan raz jeszcze dzieci swe zgromadza;
 A gdy nastąpić już ma rozłączenie,
 Jeszcze naucza, oświeca, doradza.
 Błaga, by Bożą łaską oświeceni,
 Wśród pokus świata i wśród życia drogi,
 Wytrwali mężnie w Bogu umocnieni,
 W cnocie i wierze — bez smutku i trwogi!
 Co w obcym kraju zabrakło biednemu,

I co w boleści łyzy człeka osuszy,
 Wszystkom tam znalazł — dzięki Bogu memu!
 Ojca i braci, i pokój dla duszy!
 Majstrze! czy wolno wymienić znamiona
 Owego domu — to święte schronienie?
 To czeladników gospoda wzgardzona,
 To *katolickie* jest stowarzyszenie!
 A kto za członka w tym domu przyjęty,
 Miłości węzłem już z nimi związany —
 Wdzięczności bowiem związek nader święty...

M A J S T E R z niecierpliwością.

Prawda — już jestem teraz przekonany.
 Jeśli potrzeba, najchętniej odwołam
 Porywczę — mylne i niegodne zdanie,
 Lecz ciekawości powściągnąć nie zdołam,
 Ten syn stracony — co się też z nim stanie?

M A R C I N.

Zwolna mój majstrze — przyjdzie czas na niego.
 On to powinien w ostatniej godzinie,
 Święcie wspominać pamięć domu tego,
 Bo jemu szczęście zawdzięcza jedynie.
 Jeżeli błędy porzuciwszy stare,
 Jakby na nowo Bogu się odrodził,
 Jeżeli pokochał i cnotę i wiarę,
 Porzucił drogę, którą długo chodził.
 Jeżeli nareszcie wyszedł na człowieka,
 Czyjeż to słowa, nauki działy?
 Ach, ta to nad nim kapłana opieka,

Którego dziełem ten nasz zakład cały!

M A J S T E R.

Zechciej nazwisko kapłana wymienić!

M A R C I N.

O niechaj znane i drogie ci będzie:

Kolping! **To imie i kochać i cenić,**

I błogosławić powinienes' wszędzie.

Bo mój przyjaciel jest ci także znany.

M A J S T E R.

Co słyszę? mówże Marcinie co prędeziej!

M A R C I N.

On niegdyś przez was szczerze był kochany!

M A J S T E R.

Kto? ten czeladnik w ubóstwie i nędzy?

M A R C I N.

Dziękujże Bogu i Panu nad pany!

Bo ten przyjaciel dobry i poczciwy

Zwie się...

M A J S T E R.

Karolem!...

M A R C I N.

To wasz syn kochany!

On tu jest blisko — a więc zdrów i żywy!

MAJSTER.

Ach, cóż ty mówisz? — czy tylko bydź może?

MARCIN. (otwiera drzwi.)

Obyście zawsze tak byli złączeni!

SCENA PIĄTA.

KAROL.

Mój drogi ojcze!...

MAJSTER.

O Ty wielki Boże!

Dzięki dziś Niebu! wszyscy pocieszeni.

Dzięki i tobie, któryś w obcej ziemi

Stał mu się ojcem — zesłanym aniołem!

SCENA SZÓSTA.

Czeladnicy wchodzą w świątecznych ubiorach.

JÓZEF pode drzwiami.

Oho! czeladnik widzę nowy z niemi!

P I O T R.

Obydwa stoją z majstrem sobie społem.

J A N.

Jak go pan majster do serca przyciska!...
Czy mnie kto ścisnął tak przez całe życie?

M A J S T E R.

Jesteście dzieci? — chodźcie-no tu zbliska!

J Ó Z E F.

Oj, panie majster, jak się nie wrócić,
I kropli piwa już tam nie zostanie.

J A N.

Pieczeń barania na węgiel spalona!

P I O T R.

Co tam za gniewy — jakie narzekanie!
Cała kompania siedzi opuszczona!

M A J S T E R.

O wszyscy, wszyscy, darować mi raczą!
Wszakże tam gość mój będzie uraczony.
Oni go przyjmą — oni mi przebaczą,
Bo on z daleka przybył w nasze strony.
Otwórzcie chłopcy braterskie ramiona,
Przyjmijcie dzieci tego tu młodziana,

Bo dobroć Boska wielka, nieskończona!
A syna strata już dziś odzyskana!

J Ó Z E F.

To to nam wino dziś szumnie popłynie!

Panie Karolu! dobrze się wam zdarza.
Wpadłem do kuchni w tej oto godzinie,
Wszystko się piecze, gotuje, dosmarza.
Jest rosół z kaczki — z kapustą pierogi,
A nadewszystko barania pieczenia!

P I O T R.

Widzisz - no majstra! mój ty Janie drogi!
Niby to dla nas wszystko od niechcenia.
A to już z dawna było przewąchane!
Lecz my się na tem jeszcze znamy przecie.

M A J S T E R.

Sądźcie jak chcecie, dzieci me kochane,
Wierzcie, że'm dzisiaj najszczęśliwszy w świecie!
(Tym czasem przychodzi Karol, zbliża się do Marcina i ściska go.)

P I O T R.

O, jak pan Karol ściska się z Marcinem,
Przecie ten Marcin więcej od nas znaczy.

K A R O L.

On był w tułactwie szczęściem mem jedynem!
Niech Bóg odplacić wszystko jemu raczy!

P I O T R.

Jak też tam panie Karolu bywało?
Czy też nasz Marcin i tam patrzył krzywo?

J A N.

Kto go tam dojdzie, co to się tam działo!
On by się smucił — gdzie tam — jako żywo?

J Ó Z E F grozi Marciniowi.

Spróbuj - no teraz skrzywić się Marcinie!

K A R O L.

Ja go tam smutnym nigdy nie widziałem!

J A N.

Oliwa na wierzch przecie raz wypłynie!

M A J S T E R do Marcina.

Przecie się szczęścia dzisiaj doczekałem,
A w duszy mojej błogo i wesoło!
Radbym dziś widzieć ludzi szczęśliwemi,
I uszczęśliwiać wszystkich na około —
Ciebie pierwszego pomiędzy wszystkiemi!
Otwórz przedemną serce twoje szczerze,
Jam na ten zakład smutku składał winę,

Lecz dzisiaj niewiem, co sądzić w tej mierze,
 Odkryj Marcinie cierpienie twych przyczynę.
 Powiedz mi wszystko — wyznaj od początku,
 A co zażadasz, wszystko ci się stanie,
 Choćbyś zapragnął życia lub majątku,
 Wszystko na twoje dzisiaj zawołanie!

K A R O L.

Czy cię podobne nie poruszą słowa?

M A R C I N.

To tajemnica, ona się jedynie
 W duszy tajnikach jak najgłębiej chowa!

M A J S T E R.

Sekret przedemną? jakto mój Marcinie?
 Tę najpiękniejszą zatrujesz mi chwilę!

M A R C I N.

Mój majstrze drogi! ja tego nie chciałem,
 Lecz jak tu mówić, kiedy świadków tyle?

M A J S T E R.

Oho, już ciebie teraz zrozumiałem. (Do czeładników.)
 Zróbcie to dla mnie, przejdźcie się po dworze,
 Czy też pogodę będziemy jutro mieli.
 Wszakże to spacer miły o tej porze!

J Ó Z E F.

Tak, tak, abyśmy nic tu nie słyszeli.

J A N.
 A jabym przecie rad był się dowiedzieć,
 Czy też pan Marcin tak tam płakał wszędzie,
 Czy za granicą tak spokojnie siedział.

P I O T R.

Wszystko się kiedyś na wierzch wydobędzie.

SCENA OSTATNIA.

M A J S T E R, K A R O Ł i M A R C I N.

M A J S T E R.

Cóż masz na sercu? — czy powiesz raz przecie?

M A R C I N.

Wszak wam wiadomo, zem chłopak ubogi,
 Nic nie posiadam własnego na świecie,
 Lecz się spodziewam, o mój majstrze drogi,
 Mieć własny kącik za pomocą Bożą!
 Bo jak najmocniej uznaję i wierzę,
 Że się dostatki w rękach naszych mnożą,
 Gdy kto pracuje sumiennie i szczerze.
 Od kiedy szczęście w tym domu oglądam,
 Widzę to życie ciche i pocziwe,
 Nic już innego dla siebie nie żądam.
 Ten bowiem tylko pędzi dni szczęśliwe,
 Kto mężem, ojcem, takim jak potrzeba.
 Lecz ta swoboda czyż ona twem dziełem?
 Czyż cię nie pierwiej obdarzyły Nieba
 Żoną uczciwą? — z nią szczęściem, wesełem?

M A J S T E R.

Żem ja też tego nie odgadnął wprzody!
To się pan Marcin już z majstrową spieszy?
Kiedyż to, proszę, już weselne gody?

K A R O L.

Niech narzeczona swem się szczęściem cieszy,
Bo już lepszego nie znajdzie młodziana.

M A J S T E R.

Czy są przeszkody? i cóż by to było?

M A R C I N.

Ojciec...

M A J S T E R.

Kiedy tak, to pewna wygrana.

O, chyba ci się Marcinie przyśniło!
Bo któryż ojciec miałby w poniewierce
Szczęście dziecięcia? — mylisz się Marcinie!
Któż by odrzucił tak szlachetne serce,
Gdy na niem szczęście polega jedynie?
Proszę wymienić charakter, nazwisko.

M A R C I N.

O, wszystko, wszystko, dobrze wam jest znane.

M A J S T E R.

Może w sąsiedztwie? — więc tu od nas blisko.

M A R C I N.

O, jak najbliżej!...

M A J S T E R.

Ledwo uszom wierzę.

K A R O L.

To o Elżbietę idzie rzecz ta cała.

M A R C I N.

Tak, siostrę twoją — pokochałem szczerze.

M A J S T E R.

Że tyle szczęścia człek wytrzymać może!
Czy już z Elżbietą mówiłeś w tej sprawie?

M A R C I N.

Za to, że ze mną działasz tak łaskawie!...
Nie, nigdy córce się twej nie zwierzałem.

M A J S T E R.

Tyś godny człowiek — dobrze mój Marcinie!
Do stu piorunów! gdzież oczy podziałem?
Tej to ja widzę zawdzięczam przyczynie
Owe rosoły mocno przesolone!
Poczekaj panno! głowę ci wysuszę!
A te pierogi na węgiel spalone!

(Do Marcina.) Tyś syna oddał — nadgrodzić ci muszę,
Zezwalam z chęcią na córki zamęście.
Skarb mój jedyny, ta Elżbieta droga,
Niechaj zapewni Marcinie twe szczęście!

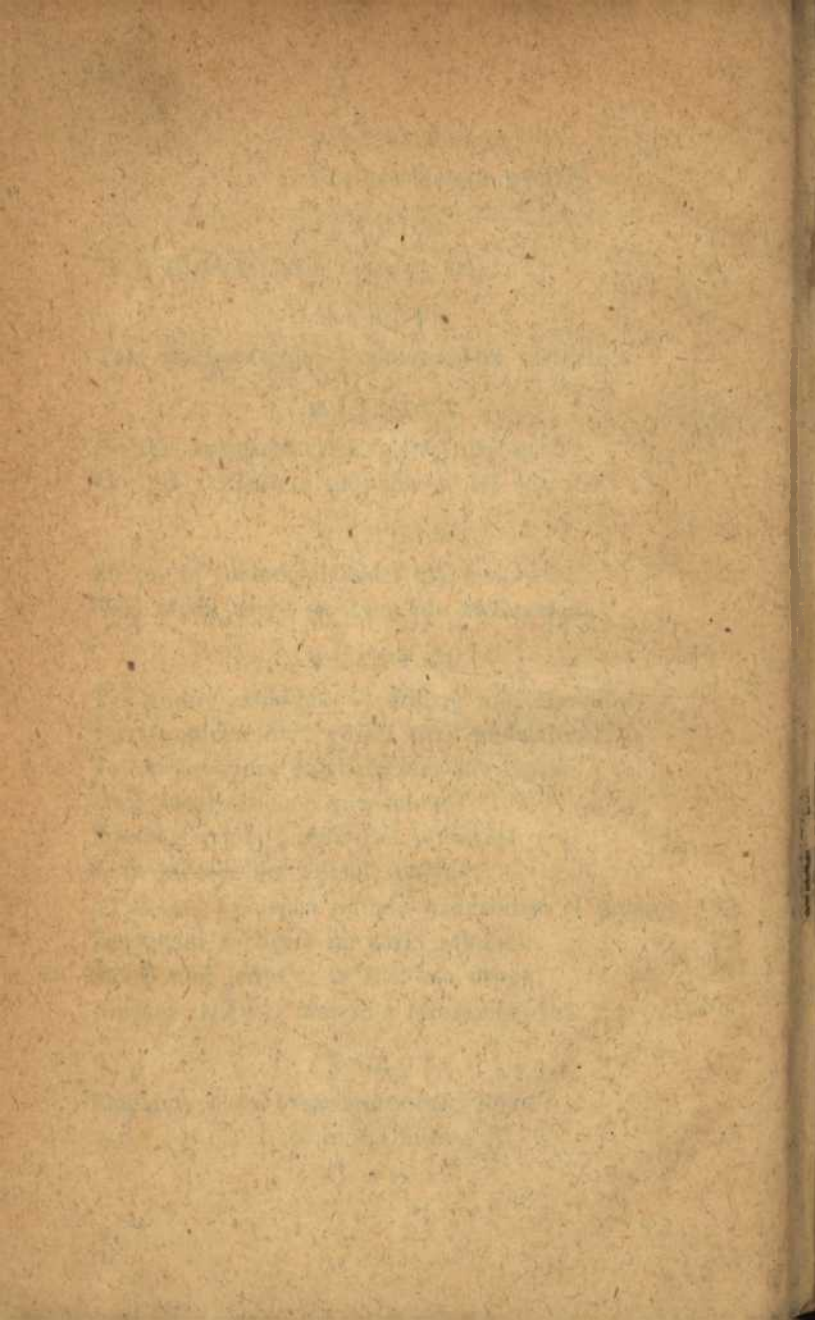
K A R O L.

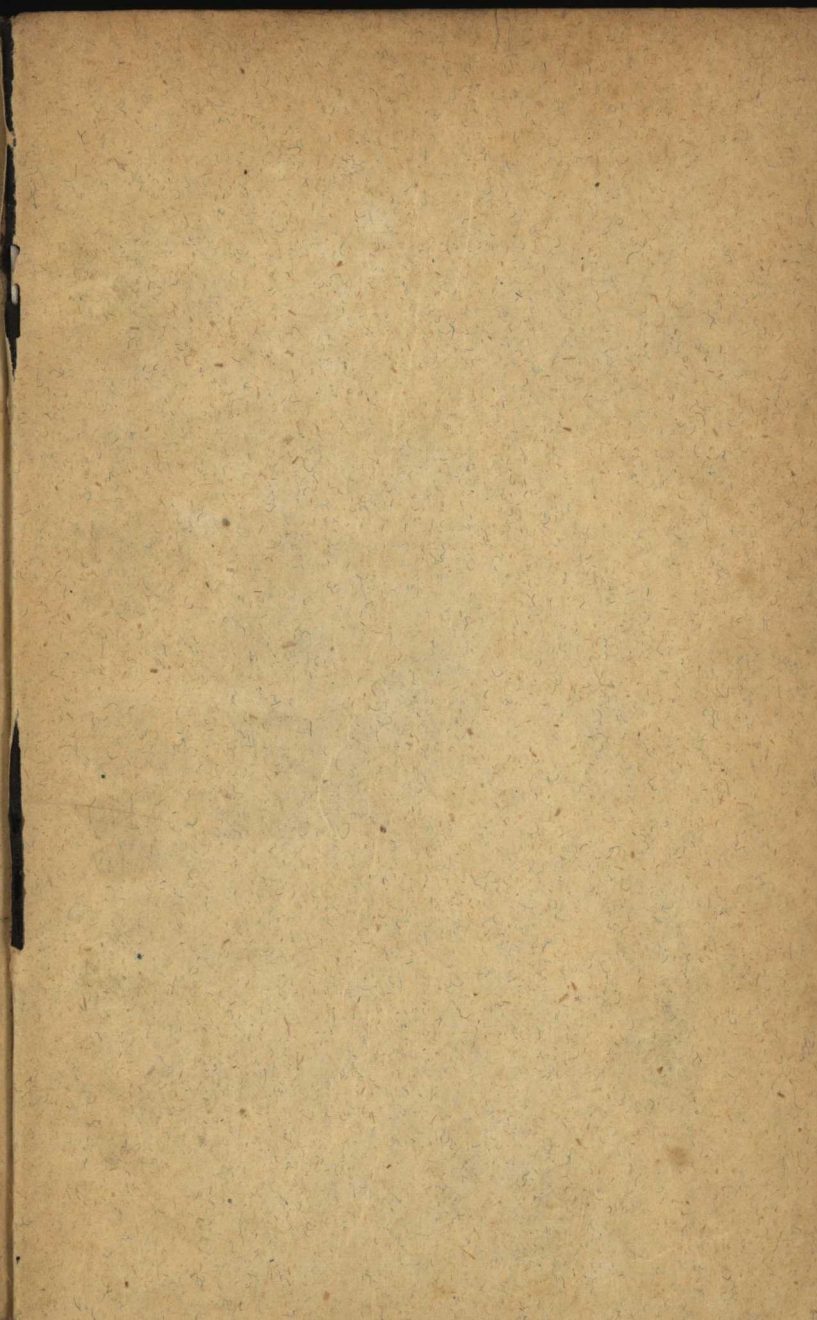
Błagajmy o to Wszchemocnego Boga!

KORTYNA SPADA.

K o n i e c.







Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 19139

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171543